

The CHRISTMAS TREE FARM

LAURIE GILMORE



ENDORFINA

LAURIE GILMORE

The
CHRISTMAS
TREE FARM



Przełożyła
Agnieszka Moore



ENDORFINA



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Kira North nienawidziła świąt Bożego Narodzenia. Co było dość niefortunne, biorąc pod uwagę, że obecnie była dumną właścicielką farmy choinek w miasteczku aż nazbyt uroczym, zamieszkanym przez ludzi, którzy nie potrafili zrozumieć subtelnych wskazówek i zostawić jej, do jasnej cholery, w spokoju.

Westchnęła sfrustrowana, zamykając drzwi przed najnowszym gościem. Jakiś facet imieniem George przyniósł jej darmową próbkę pierniczków z piekarni znajdującej się w miasteczku – wraz ze swoją wizytówką oraz więcej niż kilkoma aluzjami dotyczącymi planu współpracy biznesowej. Był już trzecim w ten weekend!

Wczoraj zastępczyni burmistrza, Mindy Walsh, wpadła w imieniu rady miejskiej, żeby wręczyć jej ulotkę o dorocznej iluminacji choinki, mającej się odbyć w przyszłym tygodniu. Jakby Kira nie widziała oblepionego informacjami miasta za każdym razem, gdy jechała po jedzenie. A dziś rano pojawiła się cała rodzina z dziećmi ubranymi

w podobne świąteczne sweterki, pytając, czy mogą ściąć drzewko. Udawała, że nie widzi łez w oczach dzieci, kiedy im odmawiała.

Tego wszystkiego było zdecydowanie za dużo. Osunęła się na podłogę, opierając plecy o drzwi, i zerwała czerwono-zieloną celofanową folię z ciasteczek. Wzięła jedno w kształcie mikołaja i odgryzła mu głowę. Niestety, było absolutnie przepyszne – pełne gałki muszkatołowej i cynamonu. *Cholera!*

Chłód przenikał przez jej plecy, gdy pożerała ciasteczko jednym rozpustnym kęsem za drugim. Drzwi były lodowate. Podłoga była lodowata. Cały ten stary, beznadziejny dom, do którego wprowadziła się trzy miesiące temu, był lodowaty. Oparła głowę o drzwi z cichym stuknięciem, udając, że wszystko jest w porządku. Bo było w porządku. Po prostu założy jeszcze jeden sweter, mimo że miała już na sobie dwa. Założy cieplejsze skarpety. Ludzie czasem nosili czapki w domu, prawda?

Zabytkowy kaloryfer obok drzwi jęknął w geście porażki.

Dobra. Trzeba wstać. Trzeba wstać i wrócić do pracy, bo „urokliwy wiejski domek”, który kupiła w ciemno, okazał się zdezelowaną starą chałupą z niedziałającym systemem grzewczym, a „hektary malowniczych pól” okazały się ukochaną, lecz kompletnie zrujnowaną farmą choinek. I mimo że przysięgała, że jej nie otworzy, teraz musiała to zrobić, żeby zarobić trochę pieniędzy i doprowadzić to miejsce do porządku – biorąc pod uwagę, że wydała wszystkie oszczędności na jej zakup.

Jeśli chciała przetrwać zimę i nie zostać znaleziona zamrznięta na śmierć przez wścibskiego, ale pełnego dobrych intencji sąsiada, musiała uruchomić biznes. I to szybko. Była już niedziela po Święcie Dziękczynienia, a sądząc po rodzinie, którą dziś rano doprowadziła do rozpacz, ludzie z niecierpliwością wyczekiwali swoich świątecznych drzewek.

Zabrała koc z kanapy i pomaszerowała w stronę laptopa leżącego w jadalni na staroświeckim, drewnianym stole, który zostawili poprzedni właściciele. W ogóle zostawili mnóstwo śmieci. Ciągłe znajdowała gdzieś wciśniętą starą korespondencję, ale nie miała zamiaru jej otwierać. Stół był za to ładny. Pasował do jej wizji rustykalnego domu.

Otworzyła komputer. Wciąż brak Wi-Fi. Przestało działać po zesłotygodniowej awarii prądu.

Cholera!

Jak niby miała zatrudnić ludzi, założyć stronę internetową i stworzyć media społecznościowe dla tego miejsca bez Wi-Fi i przy skrajnie niestabilnym zasięgu telefonicznym? Do tego, dajmy na to, w ciągu dwóch dni? Opadła na najbliższe krzesło i próbowała nie płakać. Łzy pewnie zamarzyłyby jej na twarzy. Pociągnęła nosem i starała się nie myśleć o tym, jak żałośnie musiała wyglądać – owinięta w wysłużony koc, ubrana w zbyt wiele warstw, z nosem czerwonym od zimna i płaczu.

To nie tak miało wyglądać!

Po pierwsze – nie powinna być sama. Jej siostra powinna tu być. Jej druga połowa. Dużo bardziej kompetentna, rozsądna, zrównoważona połowa. Jej bliźniaczka i najlepsza

przyjaciółka od urodzenia. Chloe nigdy nie kupiłaby tego miejsca pod wpływem impulsu. Chloe nie zgodziłaby się na zakup bez oględzin i przynajmniej podstawowego przeglądu. Chloe zadawałaby pytania typu: „Dlaczego chcesz mieszkać na farmie w Nowej Anglii, skoro nie masz pojęcia o uprawie, gotowaniu ani o robieniu czegokolwiek sama?”. Pytania, na które Kira absolutnie nie chciała odpowiadać.

Bo ten cały plan nie tyle był impulsem, co ostatnią, desperacką próbą zaczęcia wszystkiego od nowa. Ucieczką jak najdalej od dawnego życia, dawnej siebie. Nie impulsem, a radykalnym przemyśleniem, kim chce być.

Ale Chloe ją porzuciła. Uciekła i wyszła ZA MĄŻ. Przeprowadziła się do Danii. DANII! Ze wszystkich możliwych miejsc wybrała właśnie to. I co niby ma zrobić człowiek, kiedy jego bratnia dusza, druga połowa, znajduje nową drugą połowę? Cóż, najwyraźniej pochłonąć zbyt dużo treści z mediów społecznościowych o wiejskim życiu; stwierdzić: „dokładnie to powinnam robić”; wykorzystać pieniądze z funduszu powierniczego; kupić farmę i zasadniczo zrujnować sobie życie. Okej, może ten konkretny plan był jednak trochę impulsem...

Ale oto była. Nieszczęśliwa i sama. I naprawdę cholernie zmarznięta.

Kira wytarła policzki wierzchem dłoni. To było niedorzeczne. Musiała coś zrobić, bo inaczej wizja siebie znalezionej martwej w łóżku z powodu wychłodzenia stanie się rzeczywistością. Wcisnęła do ust kolejne ciasteczko mające dodać jej siły. Chwyciła telefon. Mocniej owinęła się

kocem i ruszyła do tylnych drzwi. Wsunęła stopy w nowe buty i wyszła na zewnątrz. Na dworze wydawało się cieplej niż w jej domu. Słońce, choć słabe pod koniec listopada, zdecydowanie robiło swoje.

Jeśli chciała to przetrwać, musiała się przyzwyczaić do północnych zim. Nawet nie padał jeszcze śnieg, a ona już czuła się kompletnie nieprzygotowana. W Georgii temperatura rzadko spadała poniżej dziesięciu stopni – i na pewno nie w środku dnia. Dziś musiało być lekko na minusie.

Miała totalnie przechłapane.

Żadnych łez! Nie teraz. Może później, jak będzie mogła się zaszyć pod kołdrą, w swoim łóżku..., ale nie stojąc tutaj, na tyłach domu, gdzie każdy wałęsający się mieszkaniak Dream Harbor mógł wyskoczyć zza rogu niczym koszmarny diabełek z pudełka, roznosząc te ich radosne wieści.

Podniosła rękę z telefonem wysoko i zaczęła błądzić między rzędami drzewek tuż za swoim mikroskopijnym podwórkiem. Może, jeśli przejdzie wystarczająco daleko, złapie jakiś zasięg. Mogłaby pojechać do miasta i popracować w bibliotece albo w kawiarni, którą wszyscy uwielbiali, ale to oznaczało bycie wśród ludzi – a na to w swoim obecnym stanie psychicznego rozkładu nie była gotowa. Zatem... włożenie się po polu we flanelowych spodniach od piżamy, starych swetrach i puchowym pledzie musiało wystarczyć.

Drzewka rosły w równych rzędach przed nią, od wysokości do pasa po takie przewyższające ją o kilkadziesiąt centymetrów. Na szczęście radziły sobie świetnie bez właściciela przez kilka ostatnich lat. Przydałoby się je nieco przyciąć

i uformować, ale ogólnie jej uprawa była w niezłym stanie. Za to stodoła prawie się waliła, a dom wymagał poważnych remontów.

Ale najpierw pieniądze.

A zanim one – pracownicy i realny biznes. Coś, czego Kira w całym swoim życiu nigdy nie robiła i nie chciała robić.

Nie miała jednak czasu tego roztrząsać, ponieważ ogromna czarna smuga przecięła jej drogę, a tuż za nią podążały dwie mniejsze.

Kira pisnęła.

Psy zaszczeakały.

Idący za nimi mężczyzna zatrzymał się gwałtownie.

– Elizabeth, do nogi.

Jego głos był stanowczy i twardy, a największy pies potulnie podreptał do jego boku.

– Dobry pies. – Poklepał go po głowie.

– Odie, Pudgy, do nogi.

Próbował skupić uwagę dwóch pozostałych psów tym samym stanowczym tonem, ale było za późno. Kira już kuciała, żeby pogłaskać te dwa rozmerdane ciała u swoich stóp.

– A co to za słodziaki – zaszczebiotała. – Małe aniołki.

Najmniejszy pies z szorstką białą sierścią, jakaś mieszanek z westie, wcisnął zimny nos w jej dłoń i dyszał z ekscytacji. Drugi, który musiał mieć ze sto lat w psich latach, czekał cierpliwie na drapanie między oklapniętymi uszami, z wywieszonym językiem.

– Jakie z was grzeczne pieski, takie słodkie – zachwycała się Kira, głaszcząc je i drapiąc.

Była tak zachwycona ich obecnością, że prawie zapominała o mężczyźnie, dopóki nie stanął tuż nad nią.

– Eee, przepraszam za to – odezwał się. – Nie wiedziałem... To znaczy, myślałem, że to miejsce jest opuszczone. W innym przypadku trzymałbym psy na smyczy.

– W porządku – odparła Kira wciąż w kuckach, ale teraz poświęcając uwagę Elizabeth, która zaczęła popiskiwać na widok sesji miziania. – Tylko spójrz na siebie! Jaka z ciebie piękna dziewczynka – powiedziała i wydawało się jej, że większy pies się do niej uśmiecha. Kira uśmiechnęła się w odpowiedzi – po raz pierwszy od wielu dni.

To było miłe.

Do chwili, gdy podniosła wzrok i spojrzała na mężczyznę, który przyprowadził pieski na jej farmę. Uśmiech zniknął jej z twarzy. Facet patrzył na nią z mieszaniną konsternacji i przerażenia.

I wtedy Kira przypominała sobie o swoich nieumytych włosach, czerwonych oczach i o „pledzie w roli okrycia wierzchniego”. Ech. Ten dzień, to miasteczko, ci ludzie! Byli wszędzie!

– Tak, właściwie to jestem właścicielką tej farmy – oznajmiła, wstając. – Więc wchodzisz tu bez pozwolenia.

Elizabeth pisnęła, a Kira podrapała ją za uchem.

– Nie ty, kochanie. Ty nie mogłaś wiedzieć.

– Szczerze mówiąc, ja też nie wiedziałem – przyznał mężczyzna z lekkim uśmieszkiem na twarzy.

– Jak to możliwe? Wszyscy w tym wścibskim miasteczku o tym wiedzą.

Wzruszył ramionami.

– Nie mieszkam w tym wścibskim miasteczku.

Kira zmarszczyła brwi.

– To co tutaj robisz?

– Odwiedzam.

Nie spodobał jej się ten ton. Ani jego twarz. Była zbyt... zbyt... przystojna. Tyle że w taki obrzydliwie konwencjonalny sposób. Za dużo symetrii. Za dużo idealnie ciemnych włosów. To było irytujące. I całkowicie nieinteresujące.

Zbyt wzorcowe.

– Cóż, ktokolwiek udziela ci gościny, powinien być cię powiadomić, że teraz ja jestem właścicielką tego terenu, więc nie możesz sobie tak po prostu wędrować po mojej ziemi podczas swoich małych wycieczek czy cokolwiek tam robisz.

Jego irytująco prosty uśmiech się poszerzył.

– Mała wycieczka czy cokolwiek...?

– Nie wiem! Bo co to za kamizelka? Wyglądasz jakbyś wybierał się na wyprawę.

Spojrzał na swoją puchową kamizelkę, ciemne džinsy i trekkingi, a potem przeniósł wzrok na jej „stylizację”.

– Masz na sobie puchowe pledy – zauważył.

– Tak.

– I czepiasz się mojej kamizelki?

– Tak.

Skrzyżowała ramiona na piersi, choć nie mógł ich zobaczyć, bo były schowane pod kołdrą, ale jednak. Jej postawa była buntownicza. Była całkiem pewna, że dało się

to wyczuć. Nie podobał się jej ten facet i jego drażniący uśmiech. Ani jego jasne oczy z ciemnymi rzęsami. Doprawdy? Ugh, czyż mogłoby być coś bardziej oczywistego!?

Kira interesowała się wyłącznie mężczyznami, którzy mieli wypisane na czole „zły pomysł” (czasami dosłownie), a ten wyglądał jak model z katalogu „idealny chłopak, którego twoja mama chce zaprosić do domu, aby saczyć święteczną gorącą czekoladę przy choince w pasujących do siebie piżamach”. Wybitnie nieatrakcyjny wybór. Absolutnie nie w jej typie pod każdym względem.

No... może poza udami wypełniającymi te dżinsy.

Ale to nie miało w tej chwili żadnego znaczenia!

– Jeszcze raz przepraszam za nieporozumienie. Już sobie idziemy.

Racja! Odchodząc, zabierze psy!

Cholera. Polubiła te zwierzaki. Spojrzała na trzy słodkie mordki i mogłaby przysiąc, że słyszy ich myśli.

– Możecie w sumie dokończyć spacer – wypaliła, ignorując jego uniesione brwi. – Skoro już tu jesteście, a psy potrzebują ruchu, nie mogłabym im tego odebrać.

– Widzę, że jesteś wielką miłośniczką psów.

– Są lepsze od ludzi pod każdym względem.

Zaśmiał się cicho, głęboko. Oczywiście nie zrobiło to na niej żadnego wrażenia.

– Zgadza się.

Skinęła szybko głową w jego kierunku, oczekując, że odejdzie, ale patrzył na nią tak, jakby próbował rozwiązać zagadkę.

– Coś jeszcze? – warknęła.

– Po prostu... czy wszystko w porządku?

Czy wszystko w porządku?! Jak on śmiał?! Jak śmiał zakładać, że skoro łązi na zewnątrz owinięta pledami i macha telefonem w powietrzu, jakby wierzyła, że jest napędzany siłami magicznymi, to coś z nią nie tak?!

Wyglądziła swoje okrycie dłonią niczym wieczorową suknię.

– W porządku, dziękuję.

Miedzy jego idealnie równymi brwiami pojawiła się mała zmarszczka wyrażająca zmartwienie i Kira miała ochotę czymś w niego rzucić, żeby sprawdzić, czy trafi w sam środek.

– Po prostu... chodzisz w kółko z telefonem nad głową. Pomyślałem, że może masz problem z zasięgiem. Pracuję w branży technologicznej, więc...

Typek z branży IT? Oto czego jej brakowało! Zawsze ufaj pierwszemu przeczuciu – a jej było trafne. Nie potrzebowała żadnych geniuszy z Doliny Krzemowej, co to chodzą na wędrówkę, gdzie im się, cholera, podoba, bo przecież „cały świat należy do nas”. Sobowtór Clarka Kenta przybył ją wybawić! Nie dziś, koleś!

– Nie, dzięki, Elon. Radzę sobie doskonale.

– Elon?

Teraz wyglądał na urażonego. Hmm... TO się jej spodobało.

– Rany! Próbowałem tylko pomóc.

– Nikt cię o to nie prosił.

Uniósł ręce.

– Dobrze. Masz rację. Już... ee... znikam ci z oczu.

– Dziękuję.

Nie spojrzała na niego. Ten zraniony wyraz twarzy zepsuł jej część satysfakcji. Zamiast tego przykucnęła jeszcze raz, żeby się pożegnać z nowymi przyjaciółmi.

– Pa, słodziaki. Miłego spaceru.

Dała im tyle głasków, aby wystarczyły na długo, a kiedy znów się podniosła, mężczyzna szedł już w dół rzędów drzewek, gwizdem przywołując do siebie psy.

A one niestety pobiegły za nim.



ROZDZIAŁ DRUGI

– Zostaniesz ze mną na kilka minut, prawda? – zapytała go siostra, już odsuwając krzesło przy najbliższym stoliku i wskazując na to stojące naprzeciwko. – Póki jest tu cicho? I tak potrzebuję przerwy.

Bennett rozejrzał się po chwilowo pustej kawiarni Pumpkin Spice Café, a potem spojrział na swoją siostrę, Jeanie. Posłała mu najśłodszy uśmiech.

– Proszę.

– Wiesz, ja naprawdę muszę pracować w trakcie mojego pobytu – mruknął, ale i tak usiadł.

Spędzał miesiąc w Dream Harbor, zatrzymując się nad kawiarnią w mieszkaniu siostry, podczas gdy ona zadomawiała się u swojego nowego narzeczonego, i został też, żeby wspólnie świętować Boże Narodzenie. Ale mimo wszystko musiał pracować. Ustawił wszystko tak, żeby przez następne kilka tygodni pracować zdalnie, tak jak wielu jego współpracowników robiło regularnie. Jeanie jednak się wydawało, że przyjechał na przedłużony urlop.

– To tylko kilka minut! Serio, w tej twojej pracy nie pozwalają ci na przerwy na kawę?

– Pozwalają, ale to tydzień po Święcie Dziękczynienia. Muszę nadrobić zaległości.

– Jasne. Masz do zrobienia jakieś tam „komputerowe rzeczy”.

Już prawie otworzył usta, żeby po raz tysięczny wyjaśnić siostrze, że jest inżynierem oprogramowania i napisał kody dla wielu sklepów internetowych, ale dawno temu dał sobie spokój. Prawdopodobnie w momencie, gdy zaczęła wszystkim mówić, że pracuje jako ktoś w rodzaju osobistego kupca online, bo nie potrafiła tego lepiej opisać. „Komputerowe rzeczy” było wystarczająco dobre.

– Więc co robiłeś wczoraj? – zapytała Jeanie, sącząc kawę.

Na dłoni obejmującej kubek błysnął nowy pierścionek. Zaręczynowy. Logan oświadczył się jej tuż przed Świętem Dziękczynienia, a Bennett musiał znosić ich pełne miłości spojrzenia przez całą siedmiogodzinną podróż z Buffalo, gdzie spędzali Święta z rodzicami. Był naprawdę wdzięczny, że po przyjeździe do Dream Harbor miał wreszcie własną przestrzeń i przerwę od tych gruchających gołąbków.

Logan był w porządku i Bennett cieszył się ich szczęściem, ale pierścionek był kolejnym drobnym przypomnieniem o tym, jak fatalnie jemu układało się ostatnio w miłości. Nie potrafił sobie nawet wyobrazić drugiej randki z większością poznanych kobiet, nie mówiąc już o budowaniu wspólnego życia. Czy długoterminowe związki w ogóle jeszcze istniały? Ludzie to wciąż robili?

– Pospałem, wyprowadziłem psy. – Wzruszył ramionami. – Nic szczególnego.

– Gdzie zabrałeś psy?

– Na stare gospodarstwo z choinkami, tam na Spruce.

Oczy Jeanie się rozszerzyły.

– Och.

– Tak. Miło by było, gdybyś wspomniała o nowej właścicielce.

– Przepraszam! Zupełnie zapomniałam.

Bennett odchylił się na krzesło, przypominając sobie kobietę, którą spotkał wczoraj na polu. Kobietę, która jednocześnie przywitała jego psy ciepło i czule, a jego samego potraktowała chłodno i nie chciała z nim rozmawiać. Wyglądała, jakby przechodziła jakiś kryzys, ale zachowywała się tak, jakby była od niego lepsza. A gdy zaoferował jej pomoc, wyśmiała go.

Tak, nowa właścicielka farmy choinek zdecydowanie nie przypadła mu do gustu. Mimo że wyglądała uroczo zawinięta w koce i miała niezwykle piękny uśmiech, gdy głaskała jego psy.

Ben znał wiele uroczych kobiet i wiedział, że urok nie był wart zachodu. Tak naprawdę cały ten urok sprawił w ostatnich miesiącach tylko tyle, że dał się wciągnąć w pomoc dopiero co poznanej kobiecie w wyprowadzce z mieszkania jej byłego, podczas gdy ów błagał o wybaczenie, stojąc na werandzie; doszło do drugiej randki z kobietą poznaną w aplikacji randkowej, a polegało to na szybkim drinku i poproszeniu go o podwiezienie na lotnisko, co oczywiście

wykonał, bo niby co miał zrobić; poznał trzy kolejne kobiety, które nie lubiły psów, a jedna wręcz nie znosiła zwierząt w ogóle. Widział, jak skrzywiła się na widok ptaka.

Ostatnie, czego potrzebował, to kolejna urocza kobieta. Skończył z uroczymi kobietami.

– Spotkałeś Kirę? – zapytała Jeanie z uśmiechem wykrzywionym poczuciem winy.

Bennett otrząsnął się z ponurych myśli krążących mu po głowie i skupił się z powrotem na Jeanie.

– Jeśli Kira to ta wrogo nastawiona nowa właścicielka, to tak, poznałem Kirę.

– Ona jest... – Jeanie się zawahała, szukając łagodniejszego słowa do opisanie Kiry. Nie znalazła żadnego. – No tak, jest trochę wrogo nastawiona, ale pewnie ma gdzieś w sobie czuły punkt. Trzeba go tylko znaleźć.

– Ja niczego nie muszę szukać. Muszę wracać do pracy – powiedział, wstając.

Zresztą już wiedział, co jest słabością Kiry, wrogiej właścicielki plantacji choinek. Słyszał, jak słodko i śpiewnie zwracała się do jego psów, jak jej ciemne oczy rozbłyły na ich widok. Gdyby mieszkańcy Dream Harbor chcieli za skarbić sobie jej sympatię, wystarczyłby koszyk szczeniąt, a Kira całkowicie by im uległa.

On jednak nie miał najmniejszego zamiaru mieszać się w lokalne dramaty, o których wiedział już za dużo dzięki Jeanie, a już na pewno nie chciał mieć nic wspólnego z Kirą.

– Za dużo pracujesz. – Zmarszczyła brwi Jeanie.

– Ha! – prychnął Bennett. – Mówi to kobieta, która prowadzi własny biznes i siedzi tu non stop. Z czego jestem zresztą bardzo dumny.

– Dzięki, Ben – odparła Jeanie, machając ręką i jednocześnie wstając. – Och! Mam świetny pomysł. – Jej oczy rozbłysły w sposób, który Bennett uznał za bardzo złowieszczy. – Powinieneś pójść dziś ze mną na zebranie miejskie!

– Dziękuję, ale odpuszczę sobie lokalną politykę.

– Nie, serio, to niezła zabawa! Poznasz moich przyjaciół, a potem pójdziemy na drinka. No weź, Ben.

– Nie patrz tak na mnie, Jean Marie.

– Jak?

Bennett westchnął. Nigdy nie był dobry w odmawianiu, stąd przeprowadzki i podwózki na lotnisko, ale siostrze szczególnie trudno było mu odmówić.

– Tymi wielkimi oczami. Doskonale wiesz, co robisz.

– Będzie fajnie, obiecuję. Poza tym jesteś tu, żeby spędzić czas ze mną, swoją kochaną siostrą, którą porzuciłeś, żeby żyć po drugiej stronie kraju.

– Przepraszam bardzo, to ty wyprowadziłaś się z Buffalo pierwsza.

Wciąż nie znała prawdziwego powodu jego wyjazdu do San Francisco po studiach i nie zamierzał jej go zdradzać.

Jeanie zamrugła.

– Och, racja. Zapomniałam. Nieważne. Po prostu chodź ze mną, dobrze? Zaczyna się o siódmej.

Kira North szczerze nienawidzi Świąt.

Pech chciał, że właśnie została właścicielką... farmy choinek w urokliwym Dream Harbor. Dziewczyna pragnie jedynie świętego spokoju i ucieczki przed przeszłością. Los ma jednak inne plany.

Bennett Ellis przyjeżdża do miasteczka na urlop. Chce odpocząć i przestać wreszcie naprawiać życie wszystkim wokół. Kiedy potężna śnieżycą dociera nad Dream Harbor, Ben z Kirą zostają odcięci od świata na farmie. Choć dziewczyna robi wszystko, by uchronić za Grincha, blask świątecznych lampek i gorąca czekolada wszystko komplikują. Czy dwie zagubione dusze odnajdą w Dream Harbor magię, której tak bardzo potrzebują?

W książce znajdują się
opisy scen erotycznych.



ISBN 978-83-8231-774-9



9 788382 317749

MT25020E

Cena 59,90 zł



/WydawnictwoEndorfinia



/wydawnictwoEndorfinia



/wydawnictwoendorfinia